

## POKÓJ W BUDZISZYNIE

Wśród żyznych łąnów południowych Łużyc wznosi się starodawny gród B u d z i s z y n. Nazwa tego grodu łączy się odległą — sprzed lat 930 z górą — datą, z doniosłymi wydarzeniami w dziejach słowiańskiej Polski. Ta sama data jest wciąż ludową legendą owianym wspomnieniem z przeszłości słowiańskich Łużyc.

Są nazwy i są daty, które mimo że czerpiemy je z przeszłości, mają znaczenie symbolów odnoszących się do życia współczesnego narodów. Takimi symbolami wziętymi z przeszłości narodu są np. nazwy najpiękniejszych i najruchliwszych ulic miast europejskich. Ma Londyn swój Trafalgar Square, Paryż ma bulwary nazwane od wielkich zwycięstw Napoleona I i Napoleona III. Ma również i nasz Poznań swoją ulicę Grunwaldzką, a w ostatnim czasie otrzymał pięknie zapowiadającą się Aleję Budziszynską. Biegnie ta ulica w kierunku połudn.-zachodnim, a więc w kierunku Budziszyna. Choć może nie jest rzeczą przypadku, że ulica Budziszynska jest przedłużeniem Grunwaldzkiej. Dwie te historyczne nazwy i historyczne daty, mimo nawet że od siebie oddzielone przestrzenią bez mała 400 lat, stanowią dwa najwybitniejsze momenty naszej obrony wobec Niemiec.

W krótkich słowach wypada nam powiedzieć, czym był pokój z 30 stycznia 1018 r. dla Polski i czym był dla Łużyc. Pokój budziszynski zamykał formalnie konflikt — obok zatargu między państwem bułgarskim a cesarstwem „Romainów“, czyli bizantyńskim — największy wówczas w Europie, który rozegrał się w ciągu lat 16, z krótkimi stosunkowo przerwami, między Polską a Niemcami. Zaczniemy najpierw od przyczyn tego konfliktu.

Przed dziewięciu wiekami państwo polskie było jeszcze bardzo młode. Sto lat wcześniej nie słyszymy jeszcze zgoła o Polsce. Z nielicznych okrucichów źródeł historycznych tej oddalonej epoki możemy najwyżej odtworzyć pewną ilość nazw plemion słowiańskich mieszkających nad górną Wisłą, nad Wartą, nad górną i nad dolną Odrą. Wiadomości przekazane nie dają jednak zupełnego obrazu i wszelkie wysiłki, ażeby wypełnić pozostające w tym obrazie przerwy, skazane są z góry na niepowodzenie wobec braku pewnych wiadomości. Znajdujemy się w sytuacji geografów europejskich z połowy XIX w., którzy pragnąc odtworzyć mapę centralnej Afryki musieli z konieczności zostawiać na niej wielkie białe plamy.

Obraz ten jednak szybko zaczyna się zmieniać. Zaraz po połowie X w. miejsce licznych i niezbyt rozległych plemion zajmuje jedno wielkie



państwo pod rządami pierwszych historycznych władców z dynastii rodzimej Piastów. W dziejach powszechnych znajdujemy podobne przykłady powstawania rozległych państw wśród Celtów, Germanów, innych Słowian czy później Litwinów, które w krótkim czasie zajmowały miejsce poprzednich licznych, lecz drobnych organizacji plemiennych.

Powodem takiej przemiany było zwykle niebezpieczeństwo zewnętrzne w pewnym momencie zagrażające ze szczególną siłą. Warunkiem jednak utrwalenia się tych państw było przyjęcie nowej, wyższej cywilizacji. Dzięki temu można było opuścić liczne stadia pośrednie w rozwijaniu własnej cywilizacji i własnego państwa z rodzimych tylko podstaw.

Wśród Słowian nad Odrą i nad Wisłą taką „causa efficiens“, przyczyną twórczą nowego państwa była prawdopodobnie wielka klęska Słowian mieszkających bardziej od nas na zachód między Odrą a Łabą. W krwawym starciu nad rzeką Rakownicą w r. 955 załamała się próba tych Słowian wywalczenia sobie zupełnej niepodległości w stosunku do Niemiec. W rezultacie zaś tej klęski słowiańskiej wojska Ottona I i najgłośniejszego z jego wodzów margrabiego Gerona po raz pierwszy zbliżyły się do Odry, a stąd wynikało zagrożenie dla Słowian dalej mieszkających i powstająca stąd również konieczność obrony. Za tym — w odmiennych okolicznościach być może tylko chwilowym połączeniem się odrębnych dotąd plemion, które można by porównać do nagłego stężenia przed chwilą płynnej jeszcze masy — nastąpiło u nas niezwłocznie przyjęcie wyższej cywilizacji i organizacji, a to decydowało o przyszłości.

Fakt ten najdawniejsze nasze roczniki zanotowały krótko: „Mesco dux baptisatur“, czyli książę Mieszko ochrzcił się. Przed państwem Mieszka I i jego następców otwierały się ogromne możliwości w stosunku do rozległych obszarów zamieszkiwanych przez jedнопlemiennych Słowian. Warunki geograficzne i niebezpieczeństwo zagrażające ze strony Niemiec zwracały to państwo na zachód. W czasach jeszcze Mieszka I państwo polskie osiągnęło granice „długiego“ morza, Sudetów i Karpat.

Sił tego państwa za Mieszka I, za Bolesława Chrobrego i w pierwszych latach Mieszka II, a więc w ciągu trzech pierwszych pokoleń historycznych Piastów, zwykliśmy raczej nie doceniać aniżeli przeceniać. Wpłynęły na to zazdrością często okraszane relacje współczesnych, prawie wyłącznie Niemców, ale bardziej nasz własny z ostatniej porzoborowej doby „kompleks niższości“ w stosunku do narodów zachodnich, w tej liczbie także do Niemców. Uważna lektura niemiecka współczesnych kronik i roczników stwarza nam obraz zgoła różny od podsuwanej państwu temu słabości i rzekomej zależności od potężnego sąsiada.

W Niemczech widziano wówczas w państwie polskim bądź mocnego sprzymierzeńca, bądź groźnego wroga. W pierwszym wypadku było tak, gdy chodziło Niemcom o pozyskanie sobie pomocy polskiej przeciwko zwycięskiemu w ostatniej fazie buntowi (od r. 983) pogańskich Lutyków i sąsiadujących z nimi słowiańskich plemion północnego Połabia. W dru-



gim wypadku — gdy zabiegano u książąt polskich o pokój, wydając niemieckie księżniczki za do niedawna jeszcze pogańskich władców. Wojny Mieszka I z Ottonem II, Bolesława Chrobrego z Henrykiem II i Mieszka II z Konradem II rzucały postrach na szerokie obszary wschodnich Niemiec, a jeńcy niemieccy masowo wówczas napływali w głąb ziem polskich.

Nie samymi jednak wojnami narody żyją. Wielkie państwo polskie pierwszych Piastów z chwilą przyjęcia chrześcijaństwa i zachodniej cywilizacji mogło sobie rościć słuszną pretensję do zajęcia w interesie własnym i w interesie ówczesnego cywilizowanego świata odpowiedniego dla siebie miejsca w ówczesnym układzie politycznym. Po stronie niemieckiej zrozumiał to tylko jeden Otto III, syn greckiej cesarzówny, łączący w swej duszy ideały dawnego rzymskiego cesarstwa z chrześcijańskim entuzjazmem dla wartości czysto moralnych. Pomostem duchowym między Ottonem III a polskim Bolesławem Chrobrym stał się św. Wojciech, ten pierwszy, jak współcześnie już nazywano „męczennik słowiański“, osobiście najściślej z władcą polskim związany a bliski także cesarzowi, który niósł swoje życie i krew w ofierze dalszemu rozszerzeniu się społeczności chrześcijańskiej.

Wyrazem tego porozumienia było „Gniezno“, tj. zjazd w Gnieźnie w r. 1000.

Gniezno i Budziszyn to dwa najważniejsze hasła tej epoki, ale jak niezmiernie od siebie różne. W zjeździe gnieźnieńskim współuczestniczył przez swych delegatów papież Sylwester II, w życiu poprzednim wielki uczony, Gerbert z Aurillac. Ten w swym pałacu laterańskim w Rzymie śledził po nocach ruchy ciał niebieskich przez zbudowaną w tym celu lunetę. W wydarzeniach na ziemi rozgrywających się i kierowanych często przez niego miał z pewnością nie gorszą orientację. Osobiście brali udział w zjeździe Otto III i gospodarz na miejscu w Gnieźnie, Bolesław Chrobry. Wobec kosmopolitycznego na wskroś pojmowania ówczesnego państwa, otrzymanego w spadku po dawnym rzymskim „orbis terrarum“ i propagowanego przez Kościół, istniejące polityczne granice traciły na znaczeniu. Następowało w Gnieźnie jak gdyby wielkie rozbrojenie moralne, a wspólność celów pogodzonych ze sobą południa i północy, zachodu i wschodu występowała na czoło spraw politycznych. Te piękne dni trwały jednak niezmiernie krótko.

Za życia jeszcze swego Otto III i Sylwester II, mimo że pierwszy zmarł w rok a drugi w dwa lata za ledwie po zjeździe, doczekali się zupełnej porażki swych planów tak w Italii, będącej wciąż centrum ówczesnego świata, jak tym bardziej w graniczących ze światem słowiańskim Niemczech, w których inne już zgoła nurtowały prądy. Wierny „atmosferze Gniezna“ pozostał w latach następnych tylko syn barbarzyńcy (urodzony „perfido patre“ i „credula matre“) Bolesław Chrobry. Ten z uporem dążył wciąż do wcielania w życie ideałów zjazdu gnieźnieńskiego pomimo wyraźnej wrogości Niemiec i obojętności od niedawna Rzymu.



Po długiej i wyczerpującej walce z Niemcami zawarto wreszcie pokój wskutek wyczerpania obu stron i rzucającej się w oczy bezcelowości dalszej walki. Henryk II ani swymi siłami wojskowymi, ani swą sztuką dyplomatyczną nie potrafił wydrzeć Bolesławowi Chrobremu zajętych przez niego Łużyc wraz z Budziszynem i w tym wówczas polskim, w politycznym znaczeniu, grodzie zawierano pokój. W głośnych słowach kronikarza niemieckiego biskupa merzeburskiego Thietmara charakteryzujących pokój, że był on „nie taki, jak się godziło, lecz jaki dało się zawrzeć“, należy widzieć nie tylko uznanie ciężkiego w tej chwili położenia Niemiec, ale także zapowiedź na przyszłość przeciwdziałania ustalonemu porządkowi.

Pokój budziszynski nie przynosił moralnego rozbrojenia, lecz utajaną na razie zapowiedź dalszej walki. Wprawdzie do nowych krwawych walk doszło dopiero w dziesięć lat później, ale zapowiedź tych znajdujemy już wcześniej. Państwu Bolesława Chrobrego, owej wielkiej „Sclavonii“, tak nazywanej i wyobrażanej w „iluminacjach“ rękopiśmiennych kodeksów ówczesnych, odmawiano obecnie widocznego dowodu równości z państwami na zachodzie Europy, powstałymi z sukcesji po Karolu W. Takim wyrazem równości mogła być tylko korona królewska już poprzednio, na zjeździe gnieźnieńskim w zasadzie uznana. Rzym tymczasem pograżał się w lokalnej walce stronnictw: zwycięstwo partii opierającej się na pomocy Niemców utrudniało bardzo sytuację polityczną Polski.

W ostatnim dopiero roku życia (1025), już po śmierci swojego głównego wroga cesarza Henryka II, Bolesław Chrobry koronował się przy zupełnym, jak się zdaje, braku zainteresowania tą sprawą ze strony Rzymu. Jego rychłą potem śmierć okrzyknięto w Niemczech jako widoczną karę boską. Ruch nieprzejednanego oporu wobec dążeń Polski trwał tam bez przerwy.

Nieżyjący już Henryk II zostawiał po sobie prócz tego fatalną spuściznę w poparciu, jakiego udzielił oderwanym niegdyś spod zwierzchności cesarskiej pogańskim Słowianom. Uczynił to w tym celu jedynie, ażeby osłabić Polskę nie tylko zewnątrz, ale i wewnątrz, gdyż ludność pobliskich poganom ziem polskich, ze względu na jedność języka i dawnego obyczaju, była z natury rzeczy mniej odporna na wpływy stąd idące. Wielkie połacie kraju na północy, w pobliżu Bałtyku, zostały w ten sposób ponownie utracone przez państwo polskie nie na rzecz rywalizujących Niemiec, lecz na rzecz rodzimego pogaństwa. Wobec parokrotnego później wzmagania się fali pogańskiej reakcji, którą nie znajdując naturalnego zatrzymania groziła pochłonięciem całości, mimo nawet jej ostatecznego powstrzymania i opanowania następowało bardzo znaczne osłabienie całego państwa wskutek powstałego w ten sposób rozdwojenia. W związku zaś z tym osłabieniem powracało dawne zagrożenie ze strony Niemiec.

Pokój budziszynski, choć na razie zwycięski, nie dawał więc trwałego zabezpieczenia na zachodzie. W okresie pierwszego kryzysu państwowego, jeszcze za Mieszka II, rozpoczynającą się wkrótce potem reakcję pogańską, Łużyce zostały z powrotem utracone.



W dziejach Łużyc pokój budziszyński pozostał mimo to wspomnieniem chlubnym i radosnym, z wolnością słowiańskiego żywiołu w tym kraju związanym. A dodajmy, że w początkach zaraz walk Bolesława Chrobrego z Niemcami rycerska ludność podgrodzia miśnieńskiego, zwana „wetenikami“, czyli witeziami (wiciądzami), opowiedziała się po stronie władcy polskiego i dopomogła mu wówczas w opanowaniu grodu. W dalszych walkach Bolesława Chrobrego i Mieszka II z Niemcami strona polska znajdowała też nieraz na Łużycach chętnych wywiadowców, którzy przyczyniali się w ten sposób do uzyskiwanych powodzeń.

Dopiero ponowne poddanie Łużyc władzy Niemiec pozwala zrozumieć zmiany, które z czasem tu nastąpiły i musiały nastąpić. Ludność rolnicza południowych Łużyc oraz rolnicza i rybacka północnych utrzymała się wprawdzie w swej masie jeszcze długo, w części zaś wschodniej kraju — w pobliżu Budziszyna i Chociebuża — utrzymała się pomimo tylu wieków niewoli do dziś dnia, narodowość słowiańska Łużyc nie miała jednak warunków do swobodnego rozwijania się pod obcym panowaniem. Przodujące niegdyś klasy społeczne witezioów i żupanów (o tych ostatnich zwłaszcza spotykamy liczne wiadomości z czasów znacznie późniejszych) zeszły na plan drugi wobec szlachty niemieckiej lub ziemczonej.

Największe znaczenie posiadały procesy społeczne i narodowościowe dokonujące się w miastach. Do miast napłynęli licznie Niemcy. Ludność miejscowa Łużyc, tak samo jak w innych krajach słowiańskich, nie stroniła mimo to od miast i chętnie szukała tu zatrudnienia zwłaszcza w rzemiosłach. W związku z tym w XV a zwłaszcza w XVI w. zaczęto na Łużycach ograniczać dostęp Wendów, czyli Słowian, do cechów i obywatelstwa miejskiego. Było to możliwe tylko w istniejących warunkach politycznych, to znaczy pod władzą Niemców, którzy w ten sposób bronili się przed pochłonięciem ich przez otaczającą większość słowiańską. Miasta pozostały więc niemieckie i stały się z kolei ośrodkami germanizacyjnymi w całym tym kraju. W ten sposób same procesy asymilacji narodowościowej odwrócone zostały na niekorzyść ludności słowiańskiej.

Dlatego też starodawny gród Budziszyn z jego malowniczo rozłożonymi w krajobrazie okolicznymi wieżami i basztami nie odbija dziś wyłącznie przeszłości słowiańskiej tego kraju i tej szukać należy w otaczających miasto, jak je nazywa pieśń narodowa łużycka, „świętych łąnach“. Zgodnie z obowiązującymi wszędzie socjologicznymi prawami, dotyczącymi trwałej zależności miast od wsi w znaczeniu samego przebiegu procesów ludnościowych, ze wsi łużyckiej przenikał mimo to wciąż na nowo do miasta żywioł słowiański sztucznie tylko dotychczas powstrzymywany, a nawet niszczonego przez wrogie władze polityczne. Dopiero z odpadnięciem tych sztucznych przeszkód oraz z przyznaniem pełnej swobody kulturalnego i społecznego organizowania się ludności łużyckiej proces naturalny złączenia miasta z otaczającą ją wsią będzie mógł się ostatecznie dokonać.